



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś.  P.

Dr. ROMUALD PŁASKOWSKI.

Zdawałoby się, że do dojścia do zasług, do pozyskania głośnego imienia, do zapisania się w sercach współbraci uczynkami dobrymi, jako też wiedzą, przynoszącą ogólny pożytek—dary fortuny, po ojcach i praojcach odziedziczone, nie mało przyczynić się muszą. Tak być powinno, ale tak nie jest. Może gdzieindziej inaczej bywa, u nas—nie! Pieszczochy losu, którym łatwo przechodzi zdobycie nauki, nie potrzebując w niej widzieć środków do życia—po macoszemu z nią się obchodzą i rzadko jej się dla niej samej poświęcają się; wyższych celów, ku jakim ona wiedzie, nie widzą, czy nie chcą widzieć, zresztą sybaratyzm życia wyradza w nich lenistwo duchowe, a możność zadośćuczynienia wszelkim osobistym zachciankom, czyni obojętnymi na potrzeby otaczającego ich świata. I oto widzimy fakt dziwny: ci, którym dano sto talentów, za ledwie nie nieznaczącym odsetkiem, bez rzetelnego poczucia obowiązku, z fantazyi czy łaski pańskiej, dzielą się ze społeczeństwem; ci zaś, którym nie dano nic, którzy własnym trudem i pracą do tych ta-



Ś. p. Dr. ROMUALD PŁASKOWSKI.

lentów doszli,—rozumieją ciężar każde kropli potu uznajonego czoła, a że z tych kropel składa się ogół pracy społecznej—zdobywszy bogactwo wiedzy, czy, za pomocą niej, dobrobyt materyalny: światłem swej nauki lub groszem, pracą lat długich nabytym, dzielą się nie skąpo. Tamci, mając wszystko przeżywają wszystko, własną pamięć nawet; ci sieją złote ziarna, własnymi czynami zachęcają do pracy i wytrwałości, z życia swojego dowody dają, że wszelki trud przenieść można, że najśłodszy odpoczynek jest po pracy uczciwej, zadowolenie najwyższe w spełnieniu obowiązku mającego doniosłość społeczną. Tamci giną—bez wspomnień, ci plotą sobie trwałe wieńce pamięci. To też się naprzód posuwa świat po drodze postępu, ubijanej rękami ludzi nie w rękawiczki uzbrojonych; to też nie ci, co mają, lecz ci, co zdobywają grosz po groszu, są dobroczyncami ludzkości.

Łamanie się z losem, ból, walka i trud—hartują serca i wyostrzają rozumy. Ci, którzy przez wszystko to przeszli, oczu nie zmrzą na widok szatańskich innych. W wysiłku każdym, przypomną swój wysiłek; w omdleniu—swoje omdlenie—i przyjdą z pomocą; a pomocą być może zachęta, rozbudzenie upadającej energii, i tysiąc innych środków.

Do takich ludzi, którzy wyszli nie „z soli i nie z roli, lecz z tego co boli” należał ś. p. Romuald Płaskowski, zmarły w Warszawie w końcu zeszłego miesiąca, doktor—psychiatra, długoletni współpracownik „Bluszcza.” [Urodzony w roku 1821-ym w Płocku tam że, ukończył nauki. Syn niezamoż-

nych rodziców, bez pomocy nauczycieli i korepetytorów sam musiał walczyć z różnymi przeszkodami stającymi mu na drodze do zdobywania wiedzy i chleba. Lecz silna wola i wytrwanie w raz powziętem postanowieniu od lat najmłodszych były cechą s. p. Romualda. Te zalety, po części wrodzone a po części nabyte, pozwoliły mu złamać wszelkie mozoły nauk początkowych, ukończyć z odznaczeniem gimnazjum w mieście rodzinnem i w r. 1845 udać się na studia uniwersyteckie do Juriewa (dawniej Dorpatu). Z nauk, jakie miał do wyboru, najbardziej do jego usposobienia przypadła medycyna. Dawała mu ona (w dawniejszych szczególnie czasach) pewność środków do życia, jako też otwierała szerokie pole do działań humanitarnych. Powodowany temi dwoma popędami, z młodzieńczym zapałem oddał się obranemu przedmiotowi i w r. 1850 otrzymał dyplom doktora medycyny. Teraz dopiero rozejrzał się po świecie, a zdobywszy naukę, zapragnął ją zużytkować dla celów ogólnych: niesienia ulgi cierpiącym i zdobycia serc młodzieży, która się ciężkiemu, lekarskiemu zawodowi poświęcić chciała.

W r. 1854 został wezwany na stanowisko ordynatora szpitalów s. Rocha i Ujazdowskiego. Godność tę pełnił lat trzy, albowiem następnie, zdobywszy już pewien zasilek pieniężny, udał się za granicę, gdzie przepędził dwa lata (1857—1859) na zwiedzaniu najlepszych zakładów dla obłąkanych i zaznajamianiu się z postęпами dokonaniem na polu psychiatryi. Wzbogaćwszy swój umysł zasobami nowej wiedzy, wróciwszy do kraju, mianowany został ordynatorem szpitala św. Jana Bożego, gdzie trudne obowiązki pełnił bez przerwy lat trzydzieści, do r. 1889.

Te przeszło ćwierć wieku dało poznać szerszemu ogółowi, czem był s. p. Płaskowski: nauka w nim zyskała dzielnego bojownika, chorzy prawdziwego dobroczyńcę, ucząca się młodzież wybornego nauczyciela i kierownika. Działalność swoją profesorską rozpoczął w Akademii medyczno-chirurgicznej w Warszawie, r. 1862, wykładem medycyny sądowej higieny i dyetetyki.

Z chwilą jednak utworzenia Szkoły Głównej, r. 1863, objął w niej Płaskowski katedrę psychiatryi, jako znany i uznany specjalista w tej gałęzi medycyny. Przez cały czas istnienia Szkoły Głównej s. p. Płaskowski prowadził w niej wykłady, gromadząc naokoło siebie młodzież, która w profesorze widziała nie tylko uczonego, lecz najlepszego przyjaciela, i doradcę. Ten stosunek przyjacielski między nauczycielem a uczniami trwał, dopóki s. p. Romuald był na stanowisku profesora, czy, jako wykładowca w Szkole Głównej, czy później, gdy szkołę na uniwersytet zmieniono, jako docent tego zakładu, wykładający ten sam przedmiot.

Płaskowski umiał nie tylko pozyskać serca młodzieży, i zaszczerpić w nią miłość nauki, lecz miał dar rzadki:—otwierania oczu na ludzkie cierpienia. Nie dość, że chory cierpi, a lekarz jego bóle łagodzi, w podobnych wypadkach nie małego znaczenia jest wpływ moralny doktora, rzeczywiste przejęcie się cierpieniem, odczucie jego, i wpływ kojący. Płaskowski kształcił umysły i szlachetne uczucie liłości rozbudzał w sercach lekarzów przyszłych. W ten sposób wykłady jego wkraczały i w granice etyki.—Podwójną, była nauka—to też i wieniec zasług w dwójnasób obfity.

W r. 1887 opuściwszy zawód nauczycielski, oddał się już całkiem piśmienniczej pracy. Czasopisma krajowe i zagraniczne zapełnione były jego studiami z dziedziny psychiatryi, medycyny sądowej, higieny, ogłaszały też drukiem różne rozprawy naukowe. W przeciągu lat kilkunastu był stałym współpracownikiem „Bluszcza”, na którego łamach popularyzował wiedzę ścisłą z zakresu medycyny i higieny. Jemu czytelnicy „Bluszcza” zawdzięczają niejedną dobrą radę, niejedną przesadę złamaną, naprawioną niejedno skrzywione pojęcie. My też, z wielkim żalem, a wciąż wspominamy pamięć zmarłego.

Człowiek to był nieposzlakowanej zacności, w obejściu niezwykle uprzejmy, z chorymi cierpliwym, oddający się im nieraz z zupełnym zaparciem się siebie. Jako mówca—niedorównany prawie, jako pisarz, dbający o czystość ojczyńskiego języka.

Zostawszy członkiem honorowym Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego, darował tej instytucji cenną swą bibliotekę, przez długie lata umiejętnie zbieraną, oraz uczynił zapis w sumie rs. 4,000 do rozporządzenia Towarzystwa na wynagrodzenie prac z zakresu psychologii i udzielanie zapomóg delegatom udającym się na zjazdy naukowe, których celem będą obrady, dotyczące się chorób umysłowych.

Zasłużony żywot s. p. Płaskowskiego, był razem chrześcijanina żywotem. Wielka nauka nie zabiła w nim wiary. W ostatniej też chwili żądał Sakramentów—i—przeniósł się do wieczności, kapłanowi oddając grzechy swojego czystego życia, ludziom zastawiając drogą pamięć po sobie, Bogu niosąc otwartą księgę swojej ziemskiej wędrówki.

Kazimierz Gliński.

Miłosierdzie w Ameryce.

Nigdzie może na świecie ulic miasta nie przebiega tyle tysięcy z pracy rąk własnych żyjących kobiet, co New-Yorku. *Self supporting women*—nazywają Amerykanie owo mnóstwo kobiet, przybywających tu z najdalszych zakątków świata, a poszukujących chleba.

Nie też dziwnego, że nigdzie w Europie nie spotykamy się z takimi urządzeniami, któreby miały na celu dobro i opiekę pracownię, jakie istnieją na drugiej półkuli.

Temu miłosierdziu amerykańskiemu należy się przyjrzeć bliżej.

Pierwszą instytucją w tej mierze jest założony przez mrs. Elliot F. Shepard z domu Vanderbilt w styczniu 1891 r. *Margaret Louisa Home*. Jestto wspaniałe sześciopiętrowy budynek, cały z szarego piaskowca, urządzony wewnątrz z wielkim komfortem i smakiem. Parter zajmują dwie wielkie sale mieszkalne i dwie sale jadalne; prócz tego na dole znajdują się liczne biura.

Izby mieszkalne o ścianach ozdobionych pięknymi sztychami mają wygodne kanapy i krzesła, wielkie stoły, na których spoczywają dzienniki, wygodne biurko i fortepian.

Przytułek oświetlony elektrycznością, wygląda tak wspaniale, że nie wywiera wrażenia domu, przeznaczonego dla pracujących, ale przedstawia się, jak przepyszny, prywatny pałac bogatego obywatela. Wrażenie to potęgują wspaniałe bukiety żywych kwiatów, które mrs. Shepard od czasu do czasu z oranżeryi swoich nadsyła.

Inni właściciele ziemscy posyłają całe skrzynie kwiatów do podziału pomiędzy szpital i mieszkania uboższych klas.

Ta sympatyczna troska o zadowolenie szlachetniejszych potrzeb pracujących, dowodzi delikatności uczuć nie amerykańskiej, wszelako tak jest w istocie. Nigdzie ludzie nie są tak skorzy do wydania pieniędzy, szybko się rodzących, ale i bardzo prędko na dobre cele użytych. Prasa odgrywa tu pierwszorzędną a skuteczną w miłosierdziu rolę.

Że i ubożsi mogą mieć poczucie i zamiłowanie piękna, to tam nikogo nie dziwi, przeciwnie, bogatsi starają się pielęgnować te przymioty, przysyłając z oranżeryi swych kwiaty przez los upośledzonym.

W całym urządzeniu tego domu znać pieczołowitą rękę, dbającą przede wszystkim o zdrowie i wygodę jego mieszkańców. Sypialnie urządzone są niemal z komfortem. Wygodne łóżka, wielkie umywalnie, obszerne komody i szafy na suknie, półki na książki i eleganckie plecione krzesła stanowią umeblowanie każdego sypialnego pokoju, a uzupełniają je rozrzucone tu i owdzie w artystycznym nieładzie roboty kobiece.

Pierwsze i trzecie piętro zajmują łazienki; zimną i gorącą wodę można mieć każdej chwili na każ-

dem piętrze. Cały gmach ogrzewany bywa za pomocą kaloryferów. W każdym pokoju urządzona jest odpowiednia wentylacja dostarczająca świeżego powietrza. Po za domem rozpościera się ogromne podwórze trawą porośnię z pięknymi klombami, co wobec przesyconego dymem fabrycznym klimatu tamtejszego niepomiernem jest dla mieszkańek przytułku dobrodziejstwem. Na dachówką krytym dachu urządzona jest weranda, stanowiąca bardzo miłe schronienie w upalne letnie wieczory. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że od godziny 7-ej rano do 10-ej wieczorem funkcjonuje bez przerwy winda, dowożąca mieszkańców do najwyższych pięter.

Poddasze służy za pralnię, która urządzona jest równie wygodnie jak kuchnia i spiżarnia w piwnicy. Wszystko poczynawszy od rzeczy najdrobniejszych a skończywszy na najważniejszych urządzone jest z taką troskliwością z taką oszczędnością czasu i pieniędzy, że podziwiać istotnie wypada szlachetną założycielkę, która była duszą całego przedsięwzięcia. Za przykład posłużyć może choćby sposób oddawania bielizny do prania. Co poniedziałek otrzymuje każda lokatorka drukowaną kartkę z wyszczególnieniem pojedynczych części bielizny i w kartce tej dopisuje tylko liczbę; w każdej szafie znajduje się worek przeznaczony na pomieszczenie nieczystej bielizny; w piątek zastaje lokatorka bieliznę już wypraną na łóżku. Dodać tu winniśmy, że pranie jest w tym hotelu dobroczynnym o połowę tańsze niż w New-Yorku.

Szczególnie jednak wzorowo urządzone jest wydawanie obiadów w olbrzymich salach jadalnych, które dziennie odwiedza przeszło tysiąc gości przychodnich, nie rachując stałych mieszkańek przytułku. Miejsce w tych jadalniach jest tylko 200, to też każda osoba, która już zjadła musi ustąpić innej. Obsługę pełni 12 dziewcząt. Obiady te to rodzaj *table d'hôte* z 2 i 3 potraw, lecz są i inne stosowne do życzenia gości. Potrawy przyrządzone są smacznie i zdrowo, podawane zaś są w ilości, mogącej głód zaspokoić.

Do obiadu należy chleb i masło *à discretion*, prócz tego filiżanka kawy, herbaty lub czekolady stosownie do życzenia; napojów spirytusowych nie ma wcale. Cena wynosi za pierwsze i drugie śniadanie (ostatnie z dwóch ciepłych dań) 20 cent. za obiad z trzech dań 30 cent. Dzielne zatem utrzymanie wynosi, prócz czynszu, 3 marki, t. j. około rubla.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się to mogło bardzo drogo, należy jednak zwrócić uwagę, że w New-Yorku jeden dolar (4 marki) równa się zaledwie wartości 2 marek w Niemczech, i że „Margaret Louisa Home” daje gościom swoim za 75 cent. tyle za coby gdzieindziej zapłacić musieli półtora dolara, a więc dwa razy tyle.

Podczas gdy wstęp do restauracji wszystkim kobietom bez różnicy jest dozwolony, to pobyt w „M. L. H.” zależny jest od pewnych warunków. Tylko z pracy rąk własnych żyjące kobiety protestanckiego (?) wyznania, których uczciwość i moralność bądź ustnemi bądź piśmiennemi, wiarogodnymi świadectwami stwierdzoną została, dostać się tu mogą.

Pokój z jednym łóżkiem kosztuje pół dolara, z dwoma 80 cent. na dobę. „Ależ to drogo!” pomyśli czytelnik, w hotelach jednak i w tak zwanych *boarding-house* pobyt kosztuje trzy razy tyle. Każda z mieszkańek ma prawo przepędzić tu tylko 35 dni w roku. Sekretarka zakładu tak w tej mierze pisze:

„Gdyby postanowienie to nie istniało, wtedy każda z tych 12.000 kobiet, które w ciągu pierwszych trzech lat od założenia zakładu tu przebywały, byłaby się nigdy ztąd nie ruszyła, lub powracałaby co prędzej.”

W zakładzie tym istnieją oczywiście pewne przepisy, dotyczące porządku, do których mieszkanki stosować się muszą, nie krępują one jednak w niczem ich swobody osobistej.

Zarząd nie wkrada się w tajemnice mieszanek, a każdej chwili gotów jest służyć dobrą radą lub wskazówką.

I oddać musimy słuszność, że mieszkanki ze swej strony starają się nienaruszać ogólnie przyjętego

porządku, ułatwiając w ten sposób zadanie zarządowi i przyczyniając się do utrwalenia bytu tej pożytecznej instytucji.

Założycielka, wiedząc, że jak niebezpiecznym dla zakładu w przyszłości byłoby powierzenie jej jednej osobie, ofiarowała go na rzecz chrześcijańskiego stowarzyszenia kobiet w New-Yorku, powierzając mu równocześnie opiekę i staranie o dobro instytucji.

„The Young Womens Christian Association.“ Taką nazwę nosi druga instytucja, która ma na celu pracującym swym członkom dostarczać praktycznej, towarzyskiej i moralnej podpory, dając im w ręce fach, któryby im umożliwił zarobkowanie. Urządzone są w tym celu specjalne kursa krawiectwa, buchalterii, stenografii, gospodarstwa domowego i t. p. Stowarzyszenie posiada własny dom z bibliotekami, czytelniami i salami wykładowymi, do których uczęszcza przeszło 1,000 kandydatek.

Drugim ważnym zadaniem tego stowarzyszenia jest pośrednictwo w otrzymaniu miejsca, które zorganizowane jest w sposób doskonały. Każda ze zgłaszających się kandydatek złożyć musi tu swe świadectwa i otrzymuje zaraz mieszkanie i tymczasowe odpowiednie zatrudnienie.

Zarząd drogą korespondencji dowiaduje się, czy kandydatka jest rzeczywiście osobą, którą polecić można, pod żadnym bowiem pozorem nie śmiałyby jej polecić nikomu, nie nabrawszy poprzednio pewności, co do kwalifikacji i moralnego zachowania się. Pracodawcy płacą też chętnie potrójne wpisy, wiedząc bowiem, że polecona im kandydatka odpowie ich zaufaniu. Rocznie z pośrednictwa tego korzysta przeszło 2,000 kobiet.

Specjalne biuro utrzymuje spisy właścicieli domów i restauracji, którzy za bardzo przystępną cenę dają zgłaszającym się mieszkanie i utrzymanie. Biuro to zarządza również letniskami willami stowarzyszenia nad morzem, w których każda kobieta za 20 dolarów miesięcznie otrzymuje mieszkanie, całe utrzymanie i podróż z New-Yorku i z powrotem.

Istniejące w Londynie tego stowarzyszenia „Society of United Workers“ ma na celu zapoznanie jak najszerszego ogółu z korzyściami, jakie daje ta instytucja. W tym celu urządzona jest wspaniała sala zaopatrzone w liczne książki i pisma periodyczne, do której wstęp jest wieczorem każdej kobiecie dozwolony. Gromadzą się też tu w wielkiej liczbie, przepędzając czas na miłej pogawędce lub pożytecznej lekturze. Druga grupa tej „United Workers“ ma na celu zaopiekowanie się przybyłymi do miasta w poszukiwaniu zarobku kobietami zaraz od pierwszej ich chwili przybycia. W tym celu udają się członkinie tej grupy, zaopatrzone w odpowiednie oznaki, przed przybyciem każdego okrętu do portu, i tam z całą gotowością udzielają rad i wskazówek nieznającym nieraz ani kraju ani języka pasażerom.

„United Workers“ liczy w swym gronie 300 kobiet, które poświęcają czas swój i pieniądze zupełnie bezinteresownie i mają do pomocy kilku tylko płatnych urzędników.

Z tego krótkiego opisu widzimy, jak nieobliczone dobrodziejstwa daje kobietom... Ameryka, zwana powszechnie „trzeźwym krajem dolarów.“ Znaleźli się tam jednak idealnie myślący ludzie, którzy i pod tym względem dali Europie przykład trzeźwości. A przecież poczucie miłości bliźniego nie jest przywiązane stale do jakiegoś kraju lub narodowości, jest ono w stanie wszędzie złagodzić przykrości życia i nieuniknionym szkodom, jakie za sobą przynosi cywilizacja, przeciwstawić nowe, nieznane przedtem dobrodziejstwa.

A. D.

F A L E.

Ocean spieniony wał
Z szumem w dal niesie nieznana.
O zręby nadbrzeżnych skał
Uderza fala za falą,
I skałom, pokrytym pianą,
Wędrowną zmęczone wieczną
Fale bez końca się żalą
Skargą serdeczną.

„Na wieczny skazane byt,
Żywot pędzimy tułaczy.
Jęk głuchy i smutny, zgrzyt
Wciąż nam wydawać sędzono...
Lat mąk i bólów nie znaczy
Nikt zimnej, bezdusznej fali,—
Rozbite o wasze łono,
Płyniemy dalej...

„Odwieczny, nieznany prąd
W ruch nas wprowadził przed wieki,
I wyjścia nie ma już ztąd..
Gdyby kres widniał istnienia,
Lub gdyby choć cel daleki
Miały przed sobą mórz fale,
Łatwiej byłoby cierpienia
Znosić wytrwale...

„Lecz w gęstej, dalekiej mgle
Kres i cel bytu ukryty,—
Dzień każdy cierpienia śle..
Po wierzchu toczym się morza,
Choć nęca głębie i szczyty,
Choć kryją wśród wiecznych mroków
Wielkie istnienia przestworza
Tyle uroków.

„Płynąć i płynąć bez przerwy
Musimy w dal nieskończoną,
Chociaż zwątpienia czerw
I smutek bezbrzeżnie wielki —
Od wieków szarpia nam łono,
I — „spocząć choćby w mogile,—
Wolają wszystkie kropelki,—
Spocząć na chwilę!“

Lecz szary granitu zrab
Skarg smutnych nie słyszy wcale,—
I zimno spogląda w głąb,
Z której wciąż skarga dolata,—
Z pogardą patrzy na fale,
Które tak skarżą się wieki
I płyną na krańce świata
W bezmiar daleki...

Ocean spieniony wał
Z szumem w dal niesie nieznana.
O zręby nadbrzeżnych skał
Uderza fala za falą,
I skałom, pokrytym pianą,
Wędrowną zmęczone wieczną
Fale bez końca się żalą
Skargą serdeczną...

Selim.

SIOSTRY NAPOLEONA.

Księżniczki: Eliza, Paulina i Karolina.

W świetle zeznań i świadectw współczesnych.

Wielka epopeja napoleońska tak silnie oddziaływała na losy Europy, oraz na wypadki bieżącego wieku, iż historia, kończąca ze stuleciem rachunki, musi, w badaniach swych, ciągle do niej powracać. Epoka ta posiada i dla nas niepoślednią wagę. Zbyt żywo bowiem, byliśmy z przebiegiem jej związani, zbyt głęboko wpłątani w powodzenie i upadek idei napoleońskiej, aby powrotna fala, wskrzeszająca najdrobniejsze jej przejścia, miała nie zająć tych, których dziadowie sieli kości swe po wzgórzach Italii i Iberyi, a wyzyskiwani i poniewierani przez Wielkiego Korsykańczyka, ginęli jednak za niego, układając się na wieczny spoczynek w wąwozach Samosierry.

Stąd też, zarówno dokumenty archiwalne, dotyczące dziejów pierwszego cesarstwa, jak badania historyczne lub pamiątki z owej epoki, tak licznie wydawane od lat kilka w Paryżu, posiadają nietylko dla Francuzów, lecz i dla nas urok niesłychany. Zajmuje tu każdy fakt, każdy szczegół świeżo odkryty. Zestawienie ich bowiem rzuca wciąż nowe światło na tę fenomenalną postać, w której jedni komentatorowie widzą światowładnego geniusza, drudzy zaś — wielkiego zbrodniarza tylko.

W warunkach takich, rzecz prosta, iż ważną jest każda wskazówka, która dąży do wyjaśnienia charakteru Napoleona, do rozświetlenia jego epoki i jej tajników. Pochodzenie, pierwsze dzieciństwo, młodość, otoczenie, stosunki rodzinne i wypływający z przyczyn tych atawizm, na dziedzicznych instynktach oparty, oto nowe sposoby badania wielkiego cesarza i jego czynów. Dzięki metodzie tej, nie ma już członka domu Buonaparte, któremu nie poświęconoby osobnych, a na wiarogodnych dokumentach i źródłach opartych monografii.

Do gorliwych na tym punkcie pracowników, należy p. Józef Turquan. W bardzo bowiem krótkim czasie wyszły z pod pióra jego, cztery grube tomy, poświęcone kobietom z rodziny cesarskiej. Pierwszy z nich opowiada „na zasadzie świadectw współczesnych,“ dzieje generałowej Bonaparte *); drugi, historię cesarzowej Józefiny **); trzeci poświęcony jest Królowej Hortensyi, (*La reine Hortense, d'après les témoignages des Contemporains, par Joseph Turquan*); czwarty i ostatni zajmuje się wyłącznie siostrami cesarza Napoleona.

Tom ten leży właśnie przed nami. Szczegółowo, pisany bez obiektywizmu historycznego, obcy poczuciu bezstronności i sprawiedliwości, które stanowią godność i są miarą charakteru oraz prawdziwej nauki poważnego dziejopisa, tom ten zawiera jednak mnóstwo ciekawych i zajmujących szczegółów. Siostry wielkiego zdobywcy Europy, wyniesione przez niego do wysokości tronów, zbyt stały na widowni, zbyt zwracały na siebie uwagę całego świata, a głównie Włoch i Francji, aby liczne szeregi dworaków i wielbicieli, lub wrogów i zawistnych, nie miały notować każdego ich czynu, każdego słowa, każdego spojrzenia nieledwie. Pan Turquan więc, któremu zdaje się, obce są tajniki archiwów włoskich lub ojczystych, zebrałszy tylko źródła pamiątkowe, drukowane w ostatnich czasach, znalazł się wobec olbrzymio rozwiniętych materiałów. Że je zgromadził, zestawił i porównał, to bezsprzecznie jego zasługa. Że jednak, w zestawieniu tem uwzględnił tylko rysy ujemne i bolesne, że portretował księżniczki Bonaparte tak, aby z nich uczynić potworki moralne — tego nie możemy mu darować.

Wielkie powodzenie wywołuje zwykle zawistnych. Siostry Napoleona, owe ubogie dziewczęta, którym Towarzystwo Dobroczynności, w Marsylii, płaciło zapomogę i dawało ubogą strawę, doszedłszy w lat

*) *La Générale Bonaparte, d'après les témoignages des Contemporains, par Joseph Turquan.*

**) *L'Impératrice Joséphine, d'après ect. ect.*

kilka, do zawrotnych wyżyn królewskiej godności, musiały zbudzić, we wszystkich niskich duszach złe instynkta zawiści i podłości. Co więcej, słabo wykształcone, mogły same uleść niszczącemu podmuchom próżności i zepsucia. Czy jednak p. Turquan nie przesadza, — zobaczmy, streszczając za nim sylwetki psychologiczne księżniczek, bardzo ciekawe a jedyne w swym rodzaju.

Sądźmy, iż typy te niewieście, nader w moralnej swej genezie zajmujące i oryginalne, powinny obudzić żywe zainteresowanie wśród czytelnicek „Bluszcza”. Śledzenie bowiem warunków, w jakich się rozwija, ujemny czy dodatni, lecz niepospolity a na wyżyny wyniesiony charakter, stanowi zawsze dla umysłów inteligentnych pewną rozkosz psychologiczną. Kobiety zaś rodziny Bonaparte, zaczawszy od trzech siostr Napoleona, a skończywszy na cesarzowej Eugenii, należą do tych rzadkich jednostek niewieście, które po to zbierały wszystkie słoneczne uśmiechy szczęścia, aby stoczyć się następnie w najgłębszą przepaść niedoli, jaką istota ludzka przeżyć może. Los, hojny dla nich w zaraniu życia, nad upadłymi nie znał później litości...

Pan Turquan nie uwzględni tego.

W opowiadaniu jego nie zadrza nigdy nuta współczucia, nie błysnie promień uczuć humanitarnych i ludzkich. On wie tylko co księżniczki zrobiły złego Francji. Uszanujmy patryotyzm ten, wierząc jednak, iż przyjdzie historyk, który wyda sąd mniej szowinistyczny, a bardziej na sprawiedliwości dziejowej oparty.

„Każde stronnictwo ginie przez kobiety,” — powiedział Michelet. — Cesarstwo też runęło we Francji, dzięki siostrze Napoleona jedynie, — dodaje p. Turquan, którego wzrok bystry innych przyczyn upadku tego nie jest w stanie dostrzedz.

— Wpływ księżniczek, zgubny, niszczycielski, rozpręgający, — mówi w przedmowie, — więcej przyniósł krzywdy cesarzowi i państwu, niż nieskończone, wieczne wojny; zrażał bowiem i odpychał od niego ludy, które wojny te podbiły lub przyciągnęły. Jedną z trzech siostr, Karolina, była główną i podstawową przyczyną wszystkich nieszczęść cesarstwa; ona też, w 1814 r. wymierzyła Francji cios ostateczny.

„Nie chciałbym, — miał powiedzieć Napoleon do pani d'Abrantès, — aby siostry moje zostały odtworzone kiedyś przez złego malarza.”

Zobaczmy, czy p. Turquan ma rację lękać się, iż nie jest portrecistą, jakiego cesarz Francuzów byłby wybrał do wykonania wizerunku księżniczek Bonaparte.

W streszczeniu niniejszem, będziemy się trzymać, zupełnie obiektywnie, twierdzeń p. Turquan'a.

Panny Bonaparte.

Aby zrozumieć losy, a co główne, charaktery księżniczek, trzeba znać dzieje ich dzieciństwa. Niestety, pomimo wszelkich usiłowań badaczy, nie są one dość wyjaśnione; rodzina bowiem pierwszego konsula, po nagłym swem przez brata wyniesieniu, nie lubiła wracać do wspomnień dawnej mierzoty i ubóstwa.

Matka Napoleona, panna Letycya Ramolino, poślubiła w trzynastym roku życia, Karola de Bonaparte, Korsykańskiego szlachcica i rolnika — obywatela zarazem. Z trzynastorga ich dzieci, pięcioro nie przeżyło dzieciństwa; ośm zaś imion pozostałych notują dzieje w następującym porządku: Józef (ur. 1768), Napoleon (1769), Lucyan (1775), Eliza (1777), Ludwik (1778), Paulina (1780), Karolina (1782) i Hieronim (1784).

Tak liczna rodzina, przy ograniczonych środkach materialnych, musiała pochłaniać cały czas matki; *signora Letizia* też, wychodziła z domu raz na tydzień tylko, w niedzielę, do kościoła. W trudach wychowania niewiele mogła jej dopomóc teściowa, stara pani Buonaparte. Pobożna ta bowiem świętka, uczyniła ślub, iż na tyłu codzien bszach będzie ilu jej Pan Bóg da wnuków. Stąd — dzięki sumienności w wypełnianiu zobowiązań, — trudy jej rosły z wiekiem, aż wreszcie skazaną została na wysłuchanie trzynastu mszy dziennie, co jej zabierało połowę życia. Być może — dodaje autor, — iż niebo, ulitowawszy się nad nią, powołało dla tego, z gromadki owej, pięciu aniołków do siebie, nie czekając, aż dorosłszy, zamienią się one w demonów.

Gdy podczas wojny o niepodległość Korsyki, wyspa ta cała dostała się w posiadanie Anglików, rodzina Buonaparte, jako należąca do stronnictwa francuskiego, zmuszona była uciekać. Dzielną pani Letycya, której charakter, pełen prawości i prostoty, ogólny budził szacunek, poszła za mężem na wygnanie, zabierając wraz z sobą i córki.

Statek handlowy, na którym uciekały, wyrzucił je na brzegach Francji, w Tulonie. Opuszczone, pozbawione środków pieniężnych i przyjaciół, przestały się ztamtąd do Bandol, a później do Marsylii. Położenie ich było smutne i nieledwie bez wyjścia.

Bezpłatne szkoły dla dziewcząt, utrzymywane przeważnie przez klasztory, przestały istnieć, z chwilą gdy w 1793 r. rozpedzono zakonnice, a majątki ich skonfiskowano. Na posyłanie dziewczynek do zakładów wymagających opłaty pani Buonaparte nie miała środków. Dawać im lekei sama nie mogła, bo wiedza jej ograniczała się do umiejętności podpisania własnego nazwiska. „Rosły więc panny Buonaparte, jak rosną kwiaty w górach; były świeże i miały urok dzikości, — oto wszystko.”

Należy tu uczynić wyjątek, dla jednej z nich, Elizy. Ojciec, Karol Buonaparte, uzyskał bezpłatne przyjęcie jej do szkoły w Saint-Cyr, założonej przez panią de Maintenon. Gdy opuszczała mury jej, po skończeniu edukacji, w 1792 r. ortografia jej pozostawiała nader wiele do życzenia. Prawdopodobnie, reszta wykształcenia w tym samym przedstawiała się stopniu.

W Marsylii, gdzie pani Bonaparte (tak pisano nazwisko we Francji) przybyła w 1793 r. stosunki jej pieniężne nader się smutnie przedstawiały. Mieszkała na czwartym piętrze, w ciasnych i ubogich, a często zmienianych lokalach. Suknia, jaką miała na sobie, stanowiła jedyny jej majątek; córki *signory* Letycyi nie lepiej były uposażone. Cała ta gromadka żyła z dnia na dzień, posiłkując się skromną zapomogą i chlebem, udzielanym jej przez radę Dobroczynności publicznej. Położenie ich byłoby najzupełniej rozpaczliwe, gdyby nie synowskie uczucia i dobroć Napoleona, który z ubożego żołdu kapitana artylerii odsyłał jeszcze część pewną, przeznaczając ją na utrzymanie swej matki.

Wkrótce później Lucyan i Józef otrzymali pierwsze drobne urzędy, Napoleon zaś wprowadził do domu dwóch młodych przedstawicieli rządu: Fréron'a i Barras'a, którzy, zajęci mocno pannami Bonaparte, wyrobili matce ich stałą zapomogę, przyznawaną przez rząd francuski wszystkim patryotom Korsyki, wygnanym z wyspy ojczystej. Sto pięćdziesiąt liwów miesięcznie, wraz z zaległościami za czas ubiegły, toż to równało się bogactwu, w porównaniu z nędzą, jaką dotąd cierpieli.

Wraz jednak z odzyskaniem dobrobytu, zaczynają się inne kłopoty dla pani Bonaparte. Fréron i Barras, po oddaniu przysługi, która wyciągnęła rodzinę całą z biedy, zaczynają zbyt często bywać w jej domu. Jawne hołdy Fréron'a, składane najładniejszej z jej córek, Paulinie, z którą chciał się później ożenić, zwracają ogólną uwagę. Reprezentanci ludu byli obaj młodzi i wykwintni, panienki, dzieci prawie wesołe i lekkomyślne; w Marsylii więc zaczęły krążyć plotki o nieogłędnym ich postępowaniu. Jakkolwiek też najstarsza, Marya-Anna lub Maryanna (Eliza) miała zaledwo lat ośmnaście, Paulina niespełna piętnaście, a Marya-Anunziata, (Karolina) liczyła dopiero trzynastą wiosnę, pani Bonaparte zabrała je wszystkie i, skorzystawszy, iż nadmiar ruchomości nie utrudniał jej zmian w miejscu pobytu, zaczęła życie wędrowne, przerzucając się z wioski do wioski, byle oddalić się od Marsylii.

Wzięcie Tulonu i uwięzienie Napoleona, już jako generała brygady, było nowym, lecz ostatnim ciosem. Generał Bonaparte został wkrótce uwolniony, a równocześnie brat jego, Józef poślubił pannę Clary, córkę mydlarza z Marsylii. Odtąd szala dobrobytu przechyla się już stanowczo na stronę rodziny Bonapartych.

Gdy w pięć miesięcy później panny Bonaparte powróciły do Marsylii, mogły tu już królować, wydawać bale, tańczyć z wykwintnymi oficerami, towarzyszącymi lub podwładnymi brata swego, przy czem połowa miejscowych domów stała przed nimi otworem.

W marcu, 1796 r. generał Bonaparte, wbrew oporowi całej swej rodziny, poślubia wdowę po gene-

rale Beauharnais, Józefinę, i wyjeżdża natychmiast do Paryża, by objąć naczelne dowództwo nad armią włoską.

Wyprawa jego do Italii staje się podstawą do dalszych tryumfów dla rodziny Bonaparte. Każda depesza, donosząca o nowym zwycięstwie, wprawia w stan upojenia panny Bonaparte. Dla nich, które przed rokiem chodziły w dziurawych trzewikach i łatanej bieliźnie, a dziś królują w najpiękniejszych salonach, zwycięskie te bitwy otwierają niezbrane horyzonty: zabaw, upominków, pięknych sukien i świeżych kapeluszy. Czuły też, że one, których jedyną „rozrywką” było do niedawna chodzenie na targ i cerowanie pończoch, poznają teraz nareszcie świat i wszystkie jego rozkosze.

Zaszczyty, zdobywane przez syna, rzucały blask pewien i na jego matkę. Pani Letycya Bonaparte otwiera salony na ulicy du Paradis i daje rodzaj przyjęć literackich, uroczaiących odczytami, deklamacją i przedstawieniami amatorskimi. Młody świat grywa tu komedję, a córki domu raczą przyjmować w nich udział. Dowcipna i sprytna Paoletta odznacza się nawet i zyskuje uznanie w rolach suberetek.

Musimy się rozstać na chwilę z obiektywnym streszczeniem, aby zwrócić uwagę, iż monografista przyszłych księżniczek przeczy nieopatrznie sam sobie. Jeżeli bowiem matka zdołała z trudnością się podpisać, a córki, przed kilku jeszcze miesiącami czytać nie umiały, to skądże ten salon literacki, skąd odczyty, deklamacje i teatru amatorskie? Jedno z dwojga, albo zaniedbanie ich umysłowe jest przesadzone, albo też były to osoby tak zdolne, iż w niesłychanie krótkim czasie zdołały w oświeceniu własnego umysłu cudów dokazać. Inaczej, czyżby miasto Marsylia urządziło na cześć ich bale i tryumfalne pochody, czyżby przedstawiciel jego ofiarowywał pani Bonaparte i jej córkom palmy zwycięstwa?

Pan Turquan nie zestawia tych rzeczy, lecz opowiada jedynie, iż panny Bonaparte, otoczone rojem młodzieży, zbyt lekkomyślnie zachowywały się wśród owych zabaw.

Po ukończeniu kampanii włoskiej, generał Bonaparte, zamieszkawszy, wraz z żoną, w obszernym zamku Monbello zawezwał siostry do siebie.

Równocześnie, najstarsza z nich, Marya-Anna (Eliza) poślubiła p. Baciocchi, średnia, Paoletta, osiadła przy bracie, a najmłodsza, Annunziata, oddana została na pensję.

Wraz z rozproszeniem tem, wszystkich trzech siostr kończy się okres, zarówno pierwszej ich młodości, jak bezpośredniego wpływu matki na dalsze ich losy, które się odtąd rozdzielają. Pan Turquan przeto, zaczyna opisywać od punktu tego, życie każdej z nich i jego koleje, jako całość osobną a w sobie zamkniętą.

Spróbujemy iść w ślad za jego opowiadaniem, zatrzymując się tam jedynie, gdzie zbacza ono ze szlaków historii, by zejść na manowce złośliwej, a nawet potwarczej anegdoty.

Anatol Krzyżanowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Tłum pobożnych opuszczał kościół Karmelitów po uroczystej wotywie w dniu SS. Piotra i Pawła.

Dzień był piękny, chociaż pochmurny. Wśród gorącego, pełnego oślepiających słonecznych bla-

sków lata, smętny ten, jesień nieco przypominający poranek, posiadał jakiś melancholijny, właściwy sobie urok.

Przed kościołem zatrzymała się gromadka młodych kobiet.

Ożywione ich twarze i gesta, u niektórych ubiór podróży wskazywały, iż po długiej rozłące spotkały się tutaj i witają z radością.

— Jedźcie do mnie... — mówi ze stanowczością pulchna kobieta o sympatycznej twarzy i żywym spojrzeniu. — Nie ustąpię. Jak najprędzej chcę wam pokazać mego pocziwego mężusia i moje dzieciaki. Dzieciaki jak Cheruby. Przekonacie się same. Nie ma w tem określeniu odrobiny nawet przesady macierzyńskiej. Istotnie rzecz dziwna, bo ani Czesław nie jest zbyt pięknym, ani też moich wdzięków żaden dotąd malarz nie uwiecznił.

Roześmiała się, na różowych jak u dziecka policzkach pojawiły się powabne dołki, z oczu jak i całej postaci tryskała wesołość, zdrowie.

— Nie obmawiaj-że się, Jadziu, — odezwała się Amelia Krasnohorska. — Prześlicznie wyglądasz!... Jest to nawet pewna niespodzianka dla mnie. Przypominam sobie, że na pensyi mówiono jedynie „ta miluchna Jadzia“ ale nigdy „ta ładna Jadzia.“ Tymczasem po zamążpójściu rozwinęłaś się jak róża. Porównanie dość oklepane, które się przecież samo nasuwa, gdy się patrzy na twoją kwitnącą, piękną twarzyczkę. Nieprawdaż, moje drogie?

Zwróciła się do koleżanek, przyglądających się z pewnem zdziwieniem eleganckiej damie, wyróżniającej się istotnie dystygowaną i piękną powierzchownością.

— Ta Jadzia z zaczerwienionym noskiem taka była niezgrabna... — roześmiała się jedna z nich.

— Trzpiot istny z wiecznie roztarganemi warkoczami i niewyraźną cerą... — dorzuciła druga.

— No, no! Bardzo proszę!... — broni się udając obrażoną pani Jadwiga. — To są plotki. A może powiecie, że nie urosła? Doprawdy, urosłam po zamążpójściu, co? Jakże wam się zdaje, moje drogie?

Zadając pytanie to, prostuje skwapliwie śliczną, okrągłą figurkę i widocznem jest, iż do potwierdzenia domysłu swego wiele przywiązuje wagi.

Młode kobiety roześmiały się.

— Ale bo wy nie wiecie?... — usprawiedliwia się zarumieniona pani Jadwiga. — Wyobraźcie sobie, że ja chcąc pocałować mego mężusia musiałam stać na krześle. To było nieznośne!

— Ach, ty figlarko! — zawołała szczerze rozweselona Amelia.

— Jadzia zachowała swój brylantowy humor którym zwykle ożywiała całą pensję... — zauważyła Cecylia Zielińska.

— Wspólnie z Janią Krasnohorską... — wtrąciła jedna z pańien.

Jadwiga posmutniała.

— Droga moja Jania, — wyszeptala z uczuciem. — Tak mi przykro, że jej tu niema pomiędzy nami.

— Mam list od Jani, — odezwała się Amelia. — Odczytamy go wspólnie.

— I Natalka pisała i ta Lola Zrebska, której to ojciec się zastrzelił, pamiętacie? — rzekła Jadwiga. — Więć po co my czas trwonimy stojąc tutaj? Jedźmy!

Skinęła na dorożkę.

— Siadaj ze mną, Amelko. Cesia niech się ulokuje z Bronią, Micia z Helą i tak dalej... Macie akurat tyle dorożek, ile potrzeba.

— Na Włodzimierską, — rozkazała woźnicy, zrecznie wskazując do powozu.

Wkrótce potem, całe to grono obsiadło stół jadalny w eleganckich apartamentach pani Jadwigi.

Ona sama istotnie śliczna, w kremowym szlafrocuku i delikatnych koronkach krząta się, z niezmierną troskliwością ugaszczając swoich gości.

— Masz tu ulubione swoje poziomki ze śmietanką, Amelciu, — mówi z ożywieniem. — Czy Cesia wzięła już rozbrat z higienicznym kakao? Pamiętam, jaką nieszczęśliwą minę miała zawsze przy śniadaniu. Broniu, Miciu! jedzcie, pijcie! Czemuż znów Hela taka zadumana?

Ta, do której mówiono, drgnęła lekko jakby ze snu zbudzona.

Widocznem było, że myśl jej buja gdzieindziej, może w jakich podniebnych sferach, bo wielkie, senne oczy dziwnie były rozmarzone, na ustach

bląkał się półuśmieszek sztuczny jakiś, jak sztucznem było całe zachowanie się i powierzchowność młodej panny.

— Kandydatka na starą pannę, romansową, wyegzaltowaną... — szepnęła Bronisława Jadwidze.

Amelia przyglądała jej się ze smutkiem i zdumieniem. Dla zdrowej, trzeźwej natury praktycznej kobiety okaz taki jak Helena, był po prostu anomalia.

— Mój Boże, jak też to czas szybko bieży!... — odezwała się jedna z pań. — Wszak to już ośm lat upłynęło od naszego pożegnania u pp. Krasnohorskich wieczorku.

— Ośm lat jak jedna chwilka! — zawołała żywo pani Jadwiga.

— Doprawdy? — zauważyła ironicznie szczupła, mizerna Michalina Czerska. — Jak komu, moja droga, zbiegły one szybko...

Westchnęła odsuwając koszyk z ciastem, który podsuwała jej Jadwiga i opuszczając powieki jak osoba bardzo zmęczona wyszeptała:

— O! zacieżyły one nie jednemu z pewnością.

Jadwiga znaczące spojrzenie zamieniła z koleżankami.

Twarz Michaliny wydawała się teraz smutną i cierpiącą. Poprzednie, chwilowe ożywienie, zniknęło bez śladu.

— Gdzież twoje Cheruby, Jadziu? — pyta Cecylia, by przerwać przykre milezenie.

Rozkoszny uśmiech zaigrał na twarzy młodej matki.

— Pssst!... — szepnęła. — Wyobraźcie sobie, moje drogie, poważny pan professor powiódł dziś dzieciarnię na spacer. Zwykle ja im towarzyszę, bo za nie nie powierzyłabym dzieci samej bonie. Otóż cały dzień wczorajszy gnębiła mnie ta myśl, aż wreszcie zwróciło to uwagę Czesława. „Co tobie jest, Jadziu? O czem tak dumasz?“ pytał co chwila, póki mi tajemnicy mojej nie wydarł. — Uspokój się — rzekł. — Ja pojadę. — Przypuszczałam na razie, że żartuje. Mój poważny małżonek jadący na spacer w towarzystwie mamki, bony i trojga dzieciaków, z których najstarsze ma lat sześć. Taki багаż aczkolwiek milutki nad wyraz, zwykle jednak z muzyką jeździ.

— Z jaką muzyką? — pyta zdumiona Cecylia.

— Nie wiesz? — roześmiała się wesoło Jadwiga. — To rodzaj muzyki w którym tylko ucho matki może harmonię jakąś odnaleźć. Mali kompozytorowie bowiem nie zwracają uwagi ani na takt, ani na tonację. Zwykle przytem każda arya zaczyna się *vivace* a niekiedy zdarzają się tak gwałtowne *fortissima*, że uszy puchną.

— *Finale* zastępuje wówczas klaps... — wtrąciła jedna z pań. — Przynajmniej ja tak robię, ilekroć malcy nadto mi krzykiem swoim zdenerwują.

Jadwiga spojrzała na nią nieledwie z przestraszeniem.

— Broniu, czy ty to na seryo mówisz? Wstydz się...

— Najzupełniej seryo. Czyż jabym inaczej z takim drobiazgiem radę sobie dała? Mam ich pięćioro, chwała Bogu! A nie każda z nas jak ty, Jadziu, odpowiednie posiada fundusze, by trzymać mogła nianki, bony, mamki...

Michalina uśmiechnęła się szyderczo.

— Piękne są słodkie więzy małżeńskie, — zadrwiła — piękne i szczytne obowiązki macierzyńskie, ale zbyt często niestety, kobiety przeistaczają w męczennice.

Jadwiga i inne panie prócz Heleny, ze zgrozą spojrzały na mówiącą.

— Co też ty mówisz, Miciu... — zawołała oburzona Jadwiga. — Nie mogę słuchać doprawdy. Jam taka szczęśliwa, taka dumna z moich Cherubów... Żaden choćby największy trud dla nich podjęty, nie wydawałby mi się za ciężkim. Ale wpadamy w dysputę, a wy nie jecie... Miciu, zjedz kawałek pulardy... wydajesz się taka zmęczona po podróży... Cesia ma świeżutkie jajka i surową szynkę...

— Czy ty myślisz, że ja na dyecie? — oburzyła się żywo Cecylia. — Dzięki Bogu, zdrowa jestem zupełnie.

— Przyrzyj no się naszej Cesi, Jadziu, — odezwała się Amelia z uśmiechem.

— Zauważyłam już, że wygląda doskonale, — odparła, całując Cecylię Jadwiga. — A takie to było nikle, słabowite stworzonko... Tego nie może jeść,

tamto jej nie smakuje... Istna niewolnica swoich nerwów, swego żołądka, płuc i t. p. Cóż spowodowało taką korzystną zmianę?

— Spokój wewnętrzny... — szepnęła Cecylia z wdzięcznością patrząc na Amelię. — Wypełnianie obowiązku nie przez musowe poddanie się obowiązkowi, lecz przez ukochanie go prawdziwe.

— Natalka Białecka obrała podobno zawód lekarski? — spytała apatyczna Helena. — Jaka to inteligentna dziewczyna!

— O! Natalka będzie znakomitym lekarzem, — rzekła z przejęciem Amelia. — To kobieta która szeroko pojmuje swój zawód i ukocha go po nad wszystko.

— Przejdźmy do salonu, — zaproponowała Jadwiga. — A może lepiej do mego buduaru? Tam nam będzie wygodniej. I ja otrzymałam parę listów; przeczytamy je razem.

Buduar pani Czesławowej wzbudził ogólny zachwyt.

Złotego koloru atlasz ciemnowiśniowym pluszem, puszyste kobierce, kwiaty i inne kosztowne drobiazgi złożyły się na wdzięczną i wytworną całość. Na eleganckiem z różanego drzewa biurczku stały fotografie Cherubów, ku którym wzrok matki pobiegł najpierwej.

— Ślicznie tu u ciebie, Jadziu — ozwała się z przytłumioną zazdrością Michalina. — W takich warunkach życie płynie oczywiście rozkosznie. Cóż to dziwnego, żeś wypiękniała i humor masz dobry...

Jadwiga objęła ją czule i posadziła na wygodnej kanapce.

— Trzeba umieć wytworzyć sobie harmonię, spokój w każdym otoczeniu i warunkach, — szepnęła słodko. — Wtedy osiągnie się szczęście!

— O! — rzekła tamta z ironią — to są paradoksy. Zwykła rada sytych dla głodnych.

Jadwiga patrzyła na nią z gorącym współczuciem. Ona na cierpiącej twarzy koleżanki wyczytała niedolę i tklivé jej serce bólem się ścisnęło.

Amelia położyła na biurku listy.

— Czytaj list od Jani najpierwej, Amelciu! — zawołała z prośbą Jadwiga. — Niezmiernie go ciekawa. Jania niepocziwa parę razy tylko pisała do mnie z Paryża. Było mi to bardzo przykro.

— Żal twój był trochę egoistyczny, Jadwiniu — broniła nieobecnej, Cecylia. — Wszak wiesz, że Jania musiała zdawać egzamin. Podziwiam jej żelazną wytrwałość i energię, w obec trudności które nam się prawie niepokonanemi zdawały.

— Jakto? Więć Janina zdawać musiała egzamin? — pyta Bronisława.

— O ile wiem, dużo wymagają w Sorbonie jeśli kto chce uzyskać dyplom — rzekła Helena.

— Tak! — potwierdziła Amelia. — Jakie to szczęście, że będąc rok przeszło zagranicą wkrótce po opuszczeniu pensyi, nie traciłyśmy tam czasu na próżno. I dla mnie w zawodzie jaki sobie obrałam i dla Janinki ważną to było pomocą.

— Zuch dziewczyna! — zadecydowała rozgrzana przedmiotem rozmowy Michalina. — A pamiętacie wy, jak to drwiła z Natalki, że pragnie się jeszcze uczyć, z jaką radością wyciągała ręce do swobody, do zabaw, do świata!

— To było trochę sztuczne! — uzupełniła Cecylia. — Obok niepomiarowanej żywości Jania umie myśleć poważnie. A jakie to serece złote!...

Amelia rozłożyła ćwiartki białego welinu, w buduarze zapanowało milezenie.

Na twarzach zebranych kobiet widać było żywe zainteresowanie. Przytłaczała ich nieledwie myśl o tym wielkim Paryżu, o Sorbonie i bądź co bądź te dwie młode dziewczyny które się wyrwały odważnie z rodzinnego kółka i przyjętych ogólnie już dla kobiety obowiązków, budziły w ich umysłach gorącą ciekawość.

List koleżanki obiecywał im dostarczyć niemałą sumkę wrażeń.

Nawet apatyczna Helena ścisnęła myśl ze sfer podniebnych, topiąc rozmarzone oczy w twarzy Ameli.

Z rozciętej koperty wypadła fotografia. Była to niespodzianka, którą Amelia potrafiła dotąd utrzymać.

— Jania, Jania! — wybuchnęła z radością Jadwiga.

Pełnemi łez oczyma wpatrzyła się w szlachetnie piękną twarz przyjaciółki.

— Tak, to Jania — szepce. — Też same głębokie, inteligentne oczy, których niezwykłą powagą łagodzi delikatna linia ust i uśmiech pełen słodyczy.

— Pewną jestem, że nasza Jania w Paryżu nawet zwraca głowy — odezwiała się Bronisława. — Niezwykła to uroda.

Helena wyciągnęła dłoń. W jej nieruchomych rysach odbiło się żywsze zajęcie.

— Pokażcież i mnie to cudo... — wyśpiewała zefirowym głosem. — Tak nie wiele jest rzeczy na świecie, któremi się można zachwycić!

Jadwiga podała jej fotografię.

— Patrz, jaka rozumna, pełna energii twarz...

— Junona! — wyszeptęła sucho Helena. — To nie mój *genre*... Prawdziwy powab kobiety leży w miękkich konturach, w owej bezwładności uroczej przypominającej wątył bluszcz, lub senną białą lilie... Taką tylko kobietę sztuka powinna brać za wzór swoich ideałów, taką może ukochać mężczyzna, nie zmysłową, brutalną miłością, ale tem uczuciem opiekuna i władcy, który czuje, że drżącą, eteryczną istotę mocnem swoim ramieniem podtrzymać musi.

— Nie zgadzam się z tobą, Heleno, — wyrzekła spokojnie Amelia. — Kobieta nie jest cackiem, a białe, sennie lilie zbyt szybko przekwitają... Warunki obecne wymagają przede wszystkim zdrowia, siły, zdolności do pracy, trzeźwej myśli i takie drżące, eteryczne istoty, nie mogą się do nieczego przydać społeczeństwu.

— Dodaj jeszcze — odezwiała się z gorączkową niemal żywością Czerska, — że mężczyźni teraźniejsi sami potrzebują często podpory. Obaczycie, że wkrótce oni właśnie bez pomocy naszej obejść się nie będą mogli. Kobieta jest zwykle twardsza, więc jej znieść może. A przytem czy oni posiadają hamulec jaki na swoje namiętności, czy w ogóle starają się zwalczać je? Broń Boże! Jak kość psu głodnemu, tak nam rzucają resztki uczuć wypielegnowanych w knajpie, lub przy zielonym stoliku. Cha, cha! — wybuchnęła śmiechem gryzącej ironii — podpory, filary rodzin, przykład dla synów...

Umilkła, przyciskając dłonią czoło jak gdyby gniotły ją myśli wirujące pod czaszką, jak gdyby brakło oddechu jej wklęsłej, uciśnionej piersi.

Jadwiga usiadła przy niej. Współczucie, litość rzewną obudziła w niej tą znękaną kobietą, która może sama o tem nie wiedząc, wyrzuciła z zawiedzonego serca tajemnicę swoją.

Czerska się spostrzegła.

— Rozgrzałam się niepotrzebnie... — rzekła. — Gotoweście pomyśleć, że należę do rzędu tych śmiesznych emancypantek, któreby rade głowę swojego męża przypawić na własnym karku. Bynajmniej! Tylkom dużo widziałam, dużo obserwowałam, a może... i dużo wycierpiałam. Liljowe istoty powinny zwiędnąć w zaraniu samem... Wierzcie mi, moje drogie! To ofiary i własnej bezradności i okrucieństwa innych...

— Masz zupełną słuszność, Michalino, — odezwiała się z błyszczącymi oczyma Cecylia. — Och, jak ja cię pojmuję!

Helena obracała w rękach fotografię, obca zda się temu co w koło niej mówiono.

— Istotnie, Janina dobrze się konserwuje, — wymówiła z niechęcią. — Są już takie szczęśliwe usposobienia. Czyja myśl nie wybiega ku wyżynom, kto żyje więcej duchowo...

— Ale co ty mówisz, Heleno, — oburzyła się Cecylia. — Wszak Jania nie należy chyba do kategorii istot, które nie czują i nie myślą...

— Miałam na myśli nieziszczone pragnienia, niedoścignione ideały, owo szarpanie się ducha pogrążające w odmęcie rozpacz... — szepnęła rozegzaltowana Helena. — To trawi, to wyniszcza!

— O, wierz! — z całem przekonaniem odparła Cecylia. — Jak mi cię żal, biedna Helo!

Na to Jadwiga odezwiała się stanowczo:

— Żałuj tych, którzy istotnie na współczucie zasługują, Cesi. Hela budzi we mnie gniew jedynie... Czcze, bezcelowe życie doprowadziło ją do dziwnej, karygodnej egzaltacji. A skoro już wpadłyśmy w poważną dysputę, odłożmy listy na bok.

Niech każda powie, co jej leży na sercu. Wszak taki miał być cel naszego zebrania się po kilku latach? Tajemnie chyba robić pomiędzy sobą nie potrzebujemy.

— Tak, tak! — ożwało się kilka głosów. — Czasem tak lekko gdy się ból z piersi zamkniętej wyrzuci...

— Jadwiga będzie interlokutorką, — rzekła Bronisława, rozsiadając się wygodnie.

— Więc chyba od Heleny zaczęć, — uśmiechnęła się Jadwiga, — bo ona wywołała naszą dysputę. — Heleiu, nie obraż się! Muszę cię przedstawić w twej nowej i naturalnej postaci.

— O! — wtrąciła ze smutkiem Amelia. — Nie potrzeba jej przedstawiać. Trudno poznać dawną naszą Helę.

— Życie — ucięła krótko Hela. — Doświadczenie!

— Ślamazarne poddanie się nerwom, chciałaś powiedzieć... — zawołała Bronisława. — Gdyby ci tak jak mnie naprzykład kilkoro dzieci jak wróble ćwierkało nad uszami, gdybyś miała męża, któryby posiadał połowę ledwo tego co na opędzenie wydatków domowych potrzeba, a dopełnienie tej reszty spoczywało na głowie żony, odbiegłabyś cię z pewnością i ta szluzna egzaltacja i to rozleniwienie, które cały wdzięk ci odbiera.

— Frazesy! — szepnęła Hela znudzona. — I cóż wy chcecie żebym ja robiła? Doprawdy, nie rozumie! Bywam w towarzystwach, tańczę, gram na fortepianie, wyśpiewuję rozmaite dramatyczne i liryczne arcy...

— Ale obcem ci jest wszystko co kobietę myślącą zajmować powinno; obcemi wszelkie sprawy społeczne, — dowodziła gorąco Jadwiga.

— To nieprawda! — uśmiechnęła się szyderczo Helena. — Robię dużo dla społeczeństwa. Wypełniam puste miejsca w salonach, bawię rozmową obiecujących młodzieńców, którzy na bogate panny patrzą tylko zdaleka jak lis na winogrona, przyjmuję na się postać rozmaitych bogiń gdy chodzi o jaką filantropijną zabawę... Czegóż więcej chcecie ode mnie?

Powiodła melancholijnym wzrokiem dokoła, w kąciach jej ust błąkał się drwący uśmiech.

— Byłaś zawsze mizantropką, moja droga, — odezwiała się Jadwiga. — Już i na pensyi pamiętam, karciliśmy cię za to. Zastanów że się: masz liczną rodzinę a więc obszerne pole do pracy. Któż jeśli nie ty, powinnaś dopomóc matce do wychowania młodszych siostr, do kształcenia ich nawet. Wszak masz ku temu odpowiednie kwalifikacje. Przechodziłaś przecie z klasy do klasy z nagrodami. Jakież głębokie zadowolenie znalazłabyś pouczając sama najbliższe ci drogie istotki. Ileż ja razy prosiłam cię o to, przedstawiałam... Wstydź się Helu, doprawdy!

Karciła koleżankę, lecz wzrok jej pełen był dobroci która każdy jej postępek cechowała.

Helena wszakże uczuła się nieco dotkniętą. Blade iskry zapaliły się w jej oczach.

— Al! więc stanowisko bony i guwernantki naznaczyć mi łaskawie raczyłaś w moim rodzinnem kole... — rzekła sucho. — Gdzie są rodzice, środki odpowiednie aby utrzymać bony, guwernantki...

Jadwiga przygryzła wargę. Środki odpowiedni! Otóż właśnie, że ich nie było! Wiedziała o tem, bywając dość często w domu Gronieckich, rodziców Heleny. Jakkolwiek Groniecki dość wybitnie zajmował stanowisko, ośmioro dzieci które trzeba było kształcić, życie nad stan rujnowało i pochłaniało tyle, że oko Jadwigi odkryło zaraz ową pożądaną z wierzchu nędzę, stokroć od prawdziwej, gorszą. W dodatku, najstarsza córka panna Helena, należała do rzędu panien które nie wiedzą wcale czyli istnieje po za zwierciadłem, strojną suknią, flirtem i namiętnem pragnieniem zdobycia męża, jakkolwiek cel, praca, obowiązek.

Lat kilka zeszło na balach, wycieczkach i zabiegach matrymonialnych. Panna Helena żyła jak w gorączce, jednej myśli wyłącznie oddana.

Gdy cel marzeń stawał się coraz bardziej nieuchwytnym, mizerniała, traciła siły, apetyt i pozwoliła wreszcie zapanować nad sobą nerwom, owdładnąć się egzaltacji do tego stopnia, że w towarzystwach uciekano od niej prawie, szykanowano, a w domu niestety, stawała się przykrą dla wszystkich i ciepło rodzinnego ogniska już jej ogrzać nie potrafiła.

Jakie tam myśli roily się pod olbrzymią, płową grzywką całe czoło prawie zasłaniającą, nie wiedziała nawet matka rodzona. Zgorzkniała Hela cierpki uśmiech miała jedynie dla swej rodzicielki i coraz częściej powtarzający się wyrzut: „ciekawam, po co ja żyję?“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wędrowka przez Węgry.

(Dokończenie).

Do tej stopniowo postępującej zagłady Sasów, przyłożyli w wielkiej mierze rękę Rumuni, których znaczenie na ziemi węgierskiej z dniem każdym wzrasta. Zadziwiające doprawdy są postępy, jakie żywiół ten zrobił w ostatnim dziesiątku lat kosztem Sasów; pomimo wielkiej biedy i licznej rodziny, potrafilo oni jednak doprowadzić do tego, że są dziś miarodajnym czynnikiem wśród ludności Siedmiogrodu.

Między Szässburgiem a Mediaszem, dwoma równie uroczymi jak i starożytnymi miastami saskimi, leży miasto Elisabetstadt, kolonia ormiańska. Ormian liczy ona zaledwie trzy tysiące, język ich rodzinny dawno już ustąpił madziarskiemu, a jednak gdzie tylko ukaże się Ormianin, zaraz zwraca na siebie uwagę nie tylko piękną budową ciała, ale i przymiotami umysłu. Piękna owalna głowa, orli nos, ciemne oczy, czarne jak węgiel włosy odróżniają go na pierwszy rzut oka zarówno od Madziara, jak i od Sasa. Wyrafinowany sposób zarabkowania nadaje ormianom tutejszym uprzywilejowane stanowisko wśród ludności Siedmiogrodu. Trudnią się przeważnie handlem, i umieją interesu swoje załatwiać z takim sprytem i taką gorliwością, że nawet żydzi nie są w stanie sprostać im na tem polu.

W pomysłowości dorównać im mogą jedni tylko cyganie, których tu spotykamy całemi tysiącami u podnóża Karpat. Pobyt w miastach jest im wprawdzie wzbroniony, mimo to jednak istnieje w każdym niemal mieście dzielnica cygańska. Wolą jednak pędzić pożałowania godny żywot w własnych nędznych wioskach, w lepiankach i jaskiniach podziemnych. Pochodzenie tego narodu było dla nauki przez dłuższy czas niewyjaśnioną zagadką. I tu dopiero długim usiłowaniom niedawno zmarłego profesora Miklosicha, jak również arcyksięcia Józefa, zwanego królem cyganów, który się tą sprawą bardzo pilnie interesował, udało się zagadkę tę wyjaśnić i jako prakolebkę cyganów przyjąć stanowczo kraje położone nad Gangesem. W zewnętrznej swej postaci, z swemi jak heban czarnemi włosami, z ognistym spojrzeniem, z uderzającą mądrymi rękami i nogami, z tą dziwną harmonią kształtów i śniadą cerą — przybrany nadto w mniej lub więcej fantastyczny kostium, stanowi cygan bardzo miłe dla oka zjawisko, to też sztuka nieraz się posługiwała nim jako motywem. Cyganka, nieraz w wieku 10 do 15 lat uderzająco piękna, wędnie szybko i w dwudziestym roku życia bywa już bardzo brzydka. Ale za to charakter i wewnętrzne przymioty cygana są mniej powabne. Przed niczem tak nie stroni, jak przed pracą, i choć się nie raz da użyć czy to do robót w lesie, czy przy myciu złota, czy wreszcie na własną rękę prowadzi handel nierogacizną, to jednak zamiłowanie do pracy gra w tych razach rolę podrzędną.

Właściwym jego żywiołem jest złodziejstwo i na tem polu nikt mu nie dorówna. Wrócenie z kart i znachorstwo, którem się trudnią kobiety nie jest również niczem innym jak tylko oszustwem. Jeżeli jednak co jest w stanie nieco przychylniej nas dla ich błędów usposobić, to niezwykle ich zdolności do muzyki. Artyzm, z jakim cygan włada skrzypcami, jest wprost nieporównany, a nut nie zna przytem wcale. Niekiedy wiedziony ambicją pory-

wa się na muzykę włoską, ale do należytego oddania jej brak mu wykształcenia muzycznego.

Narodowe zato pieśni wychodzą w jego interpretacji z taką namiętnością i ogniem, że pod tym względem żaden muzyk dorównać mu nie jest w stanie.

A posiada ten na tak niskim szczeblu rozwoju zostający naród własną literaturę. Prócz całego skarbu baśni i legend spotykamy się z pieśniami o oryginalnym nieraz kolorycie; nie wszystkie brzmią jednak tak niewinnie, jak ta np.:

Dziewczę lubi róże, kwiatki,
Chłopiec wzdycha za spodniami,
Żona chce mieć piękne dzieci,
Mąż przepada za świni....

Zbliżamy się wreszcie na wielkim parowcu, który tu regularnie na Dunaju pomiędzy Pesztem, a Galaczem kursuje ku węgierskiej metropolii.

Oczom naszym przedstawia się cudownie piękny widok. Po lewej stronie, a więc na prawym brzegu Dunaju, wznosi się majestatycznie twierdza Ofen, wsparta na dwóch skałach, Festungsbergu i Szwabenbergu, a nad nią góruje wyższy jeszcze Bloksberg. Na tle mnóstwa ulic, domów, kościołów i willi odbija się wspaniały zamek królewski. Tu cesarz Austrii, Franciszek Józef, przepędza, jako król Węgier, rok rocznie kilka tygodni, tu otwiera obojętne parlament węgierski, przyjmuje magnatów, deputowanych i dygnitarzy, a wjazd tych reprezentantów narodu węgierskiego, przybranych w lśniące przepychem kostiumy narodowe, przedstawia iście czarujący widok.

Do zamku królewskiego przytyka cały szereg uderzających prostotą budowy gmachów publicznych, ministeriów, koszar i urzędów krajowych; jedynie wspaniały bazar, położony u stóp Szwabenbergu ma pewne cechy stylowe. Właściwa jednak piękność miasta Ofen polega nie na wspaniałych budowlach, lecz na cudownym położeniu. Widok, jaki się przedstawia ze szczytu Szwabenbergu na ciągnące się długim szeregiem góry, na toczący swe olbrzymie wody Dunaj, na którym wre ciągle życie, wreszcie na rozciągający się na przeciwnym brzegu rzeki Peszt, pozostawiają niezatarte w pamięci wrażenie.

Pod względem towarzyskim ma Ofen charakter miasta urzędniczego i małowieszczańskiego; życie płynie tu spokojnie.

Tem żywiej wre ono na przeciwnym brzegu Dunaju, w Peszcie. Oba miasta połączone prześlicznym mostem łańcuchowym stanowią już od dziesiętności lat jedną gminę, noszącą nazwę Budapeszt. Niegdyś rozrzucony bez ładu na płaszczyźnie, jest Peszt dziś z swymi wspaniałymi budowlami, szerokimi ulicami, pięknymi placami i uroczymi ogrodami jednym z najpiękniejszych miast na kontynencie.

Tu, w bogatych sklepach, położonych nad wspaniałymi kanałami Dunaju, gromadzi Wschód najlepsze swe towary. Znajdujemy tu obok najkosztowniejszych tureckich tkanin, drogocenne perskie dywany, a obok nich najpiękniejsze owoce południowe jak pomarańcze, figi i melony węgierskiego pochodzenia, w okolicy bowiem Fiume, jedyne go portu Węgier, rodzi się figa pod gołym niebem. A nie brak tu również cennych produktów Zachodu; wszystko, cokolwiek rynek angielski, paryżki i brukselski dostarczyć są w stanie, a więc wyroby sukienne i stalowe, artystyczne biżuterie, kosztowne koronki, otrzymać tu można z równą łatwością jak i w największych miastach Zachodu.

W pięknych miejscach spacerowych wzdłuż Dunaju, lub w pobliżym lasku podmiejskim, lub wreszcie na uroczym położonej wyspie Margerity, spotykamy to, za czem się oko nasze w podróży przez Pustkę stęskniło, a mianowicie piękne kobiety. Główny powab Madziarek stanowią bujne czarne sploty włosów i uroczyste czarne oczy; cera ich barwy prawie oliwkowej odznacza się nadzwyczajną delikatnością, a artystycznie zaokrąglone kształty tworzą piękną harmonijną całość tej postaci średniego wzrostu. W ruchach jej, pełnych życia i gracy przebiega się pewność siebie i pewna doza namiętności, zwłaszcza wtedy, gdy tańczy narodowy swój taniec, ognistego czardasza.

Pełna temperamentu, kipiąca życiem, wrażliwa na wszystko, co wabi i nęci, zawsze wesoła i uśmiechnięta, choć mimo to nie jest, jak ją często zbyt pośpiesznie sądzą, lekkomyślną. Jako gospodyni domu stanąć może śmiało obok niemieckiej kobiety; pomimo całej swobody w obejściu umie zachować godność kobiecą. A kuchnia jej jest równie wyborna, choć trzeba się wpierw do niej, a zwłaszcza do papryki, która tu najważniejszą gra rolę, nieco przyzwyczaić.

Gulasz jednak, jaki tam podają, w niezem nie przypomina potrawy, która pod podobną nazwą figuruje w cennikach naszych jadłodziń. Tam ma on swój charakter.

Stolica kraju jest zarazem ogniskiem handlu i przemysłu, co w obec jej położenia nad jedną z najbardziej spławnych rzek w Europie oraz gęsto rozgałęzionych sieci kolejowych, jest rzeczą całkiem naturalną. Przemysł węgierski przed 30 jeszcze laty po macoszemu traktowany, rozwija się dziś z olbrzymią szybkością. Obok wielkich fabryk maszyn, garbarni i gorzelni spotykamy tu młyny parowe nie ustępujące w niezem pierwszorzędny tego rodzaju zakładom; Ofen posiada jeden z największych na lądzie stałym warsztatów okrętowych dla budowy okrętów rzecznych.

Pod względem artystycznym i literackim jest Peszt również stolicą kraju. Jednocześnie on w sobie pierwszorzędne siły umysłowe Węgier; posiada pierwszorzędny w kraju uniwersytet, a obok licznych bibliotek, muzeów i galerii, w których spragniony wiedzy obfity znajdzie pokarm, także wyborne teatry i instytucje muzyczne.

Nieprzyjazne polityczne stosunki powstrzymywały przez dłuższy czas rozwój tego kraju, który od chwili odzyskania narodowej swej niezależności szybkimi krokami dąży do postępu. Na wszystkich polach: państwowym, ekonomicznym, intelektualnym i towarzyskim wre dziś nowe życie, widoczne pragnienie powetowania straconego czasu. Węgry pracują.

Że tak jest istotnie najlepszym dowodem — wystawa w Peszcie.

Ad. D.

DLACZEGO?

Napisał

Ignacy Kotwicz.

Na werandzie stała młoda dziewczyna.

Wiatr chłodny zawiewał od rzeki, która o kilkadziesiąt kroków przed nią płynęła, to też dziewczyna otuliła się szczelnie dużą, szarą chustką i wsparta o balustradę patrzyła przed siebie.

Na młodej jej lecz nieładnej twarzy malowało się głębokie zamyślenie, wzrok zaś błądził po rosnących przed nią krzakach róż i jaśminu i po wyniosłych lipach, ozłoconych cudnie promieniami słońca, znać jednak było, że widok ten, acz cudownie piękny, był jej teraz obojętny — zapatrzyła się w jakieś obrazy, tylko oczom jej duszy widoczne. Z pierśi jej wydarło się lekkie westchnienie.

— Pani nie pojechała do Sosnowki? — zabrzmiał nagle tuż koło niej piękny, męski głos.

Odwróciła głowę z pośpiechem i oczy jej spotkały się z jasnym wejrzeniem młodego mężczyzny. Lekki rumieniec przebiegł po jej twarzy.

— Miałam dziś dużo zajęć, odpowiedziała, przygotowałam pokoje dla stryjunki, pomogłam cioci piec ciasto, a teraz jestem swobodna, więc rozkoszuję się słońcem.

— Może, korzystając z czasu, zechce się pani trochę przejść po ogrodzie?

— I owszem, odparła i oboje zeszli w główną aleję.

— Śliczny czas, doprawdy wierzyć się nie chce, że to już koniec września, zagadnęła dziewczyna.

On nie odpowiedział nic na tę uwagę; chwilę padowało między nimi milczenie.

— Wie pani, że mi jednak przykro opuszczać teraz Łotosnę; sam nigdy nie przypuszczałem, abym

się potrafił tak przywiązać do miejscowości jakiej, do natury, a przede wszystkim do ludzi.

— Zdaje mi się, że to naturalny wynik pańskiego sposobu życia; ciągła zmiana miejsca, ciągle nowi ludzie nie mogą wywołać w duszy naszej silniejszego wrażenia. Gdy się jednak gdzieś dłużej zabawi i nie jest nam bardzo źle, to jakoś przywyknemy do otoczenia, a potem — żal się rozstawać.

— Otóż to, zawołał, a mnie tak dobrze było w Łotosnej, z pewnością jej nigdy nie zapomnę! — A czy też pani wspomni kiedy o ptaku przelotnym, który tu gościł?

Patrzył uważnie na dziewczynę, ona poważnie i spokojnie odpowiedziała:

— Zawsze mile wspominam tych wszystkich, którzy dla mnie byli życzliwi.

— To zbyt ogólnikowa odpowiedź, wygląda raczej tylko na grzeczność z pani strony; jabym pragnął być wyłączony z owych „wszystkich“ w oczach pani. — A wie pani kogo ja będę najwięcej żałował i za kim najgoręcej tęsknił?

Gdy to mówił, w oczach jego malowało się głębokie, czyste uczucie, usta zaś, ocienione pięknym, jasnym wąsem drżały lekko.

Dziewczyna nie patrzyła na niego, lecz na twarz jej widać było pomieszanie, starała się je pokryć i poprawiała z zajęciem szal, który się jej zsunął z ramion.

— Za panią, skończył mężczyzna, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Strasznie mi będzie brakowało pani, tak mi pani popsuła swoją dobrocią. W szumie i wirze mego życia chciałbym mieć panią blisko siebie, patrzeć w twoje jasne, spokojne oczy i ze spojrzenia tego czerpać siłę do pracy, do walki. Nie! — doprawdy, nie potrafię odjechać stąd bez ciebie, zawołał ujmując jej rękę, — kocham cię z głębi serca; czy ty jednak, Marylko, zechcesz dzielić moje losy, czy zechcesz zostać moją żoną?

Zatrzymali się przed rozłożystą sosną — on stał przed nią i z ust jej czekał wyroku.

W niej tymczasem działo się coś dziwnego, radość z bojaźnią pomieszana napęlała jej serce, nie umiała zdać sobie sprawy z tego, co się stało — jeszcze nikt podobnie do niej nie mówił.

— Odpowiedz, pani, — powtórzył poważnie.

Dziewczyna pochyliła nisko główkę i ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła:

— Nie wiem.

Roześmiał się wesoło z jej zakłopotania, objął ją w pół i głowę jej pokrył bujnym, złotym włosom zbliżył do swej piersi.

— Kochanie ty moje jedyne, pomyśl nad tem, spróbuj pokochać — wszak chyba nie jestem ci wstrętnym?

— O, nie — rzekła silniejszym głosem.

— Widzisz, — mówił uciechony — ja dziś jeszcze nie żądam stanowczej odpowiedzi, zastanów się nad sercem swoim, a jutro powiedz „tak“, a zrobisz mię najszczęśliwszym z ludzi.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej ku sobie i na włosach złożył pocałunek.

Usunęła się z jego objęcia i stała przed nim zarumieniona, zawstydzona, nie wiedząc, co z sobą począć.

— Marylko! — rozległo się w tej chwili wołanie.

— To ciocia mnie potrzebuje, — powiedziała i pobiegła szybko ku domowi.

On został sam i patrzył, jak między drzewami migała jej ciemna sukienka.

— Gdybyż ona zechciała, — myślał idąc brzegiem rzeki, — ona słodka i dobra, przy niej i z nią życie musi być bardzo piękne.

Zaczął snuć różne marzenia i nie spostrzegł nawet jak słońce zaszło a nad ziemią zmrok zaplował.

Zawrócił więc ku domowi i zdaleka już usłyszał wesołą, gwarłą rozmowę, wreszcie spostrzegł powozy, z których wysiadali oczekiwani goście, a na spotkanie których całe towarzystwo Łotoszyńskie wyruszyło do pobliskiej stacji Sosnowki.

Młody człowiek zbliżył się do ganku, nastąpiły wesołe wykrzykniki, powitania, aż wreszcie wszyscy weszli do pokoju.

Oczekała tu na nich ciocia, poprawiając coś koło świeżo zapalanej lampy.

Nowe wykrzykniki i powitania.

— A gdzież Marylka? — zapytała jedna ze star-

szych pań, — dlaczego nie wyszła na nasze spotkanie?

— Marylka jeszcze w kuchni, toż to nasza prawa ręka w gospodarstwie, — odpowiedziała ciocia.

Po chwili weszła Marylka — odrzuciła już szal, a na ciemną sukienkę włożyła biały fartuszek. Wszyscy witali ją bardzo serdecznie, musiała to być ulubienica całego domu.

— Proszę na herbatę, — przemówiła, — zapewne jesteście państwo porządnie zmęczeni po drodze.

Mówła zupełnie swobodnie, pomagając paniom zdejmować zarzutki, następnie otworzyła drzwi i wszyscy przeszli do sali jadalnej.

Młodzieniec chciał się zbliżyć do Marylki, ona jednak zajęła się samowarem, a on musiał usiąść obok pani domu, która rozpoczęła z nim rozmowę. Marylka za nie w świecie nie chciała z nim teraz mówić, pragnęła się przedewszystkiem uspokoić, zebrać myśli, a potem — no, potem może to jakoś pójdzie...

Nie siadła całkiem do stołu, obchodziła wszystkich gości, wskazywała służbie, gdzie należy podawać półmiski — zwykle się tam zajmowała, zastępując matkę, której zdrowie słabe nie pozwalało oddawać się gospodarstwu — wyręczały ją więc w tem siostra i córka — lecz dziś, choć udawała gorące zajęcie się wszystkiem, nie szło jej to, ręce jakoś drżały, mieszały ją spojrzenia, przyzwyczajenie tylko przyszło jej w pomoc, że obowiązki podjęte dobrze wypełniła.

Gdy wreszcie skończyła się wieczera, przystąpiła do matki i tłumacząc się bólem głowy zapytała, czy może już odejść.

Matka zaniepokoiła się.

— Co ci jest, Marylko, tyś chora?

— Ależ doprawdy nie wielkiego, mamo, wstałam dziś bardzo wcześnie, zmęczyłam się trochę i spać mi się już chce. Stryjenka nie weźmie mi tego za złe, wszak prawda? — dodała zwracając się do pani, która po przyjeździe najpierw o nią zapytała.

— Naturalnie, że nie, idź, wyspij się dziecko, abyś nam jutro wstała zdrowa i wesół. Ja też jestem zmęczona i zaraz pójdę za twoim przykładem.

Z temi słowy uściskała Marylkę na dobranoc, a dziewczyna wyszła szybko i udała się do swego pokoju. Nie położyła się jednak zaraz, jakiś czas chodziła tam i napowrót, wreszcie otworzyła okno i stanęła przy nim. Czoło jej było rozpalone, chciała je ochłodzić trochę, — serce jej biło niespokojnie, ręką chciała zatamować to bicie, myśli plątały się i nie umiała ich rozplątać.

— On mnie kocha, chce żebym była jego żoną, Boże! Boże, czy ja kiedy marzyłam o takim szczęściu! Czy mam mu powiedzieć „tak”? Chyba tego nigdy nie wymówię — a on całował moje włosy — i gwałtowny rumieniec oblał jej twarz, czoło i szyję na wspomnienie tego pierwszego uścisku...

Na płacz jej się zbierało, a jednak było tak błogo, tak dziwnie dobrze...

— Jego kochać? chyba go już bardzo kocham!... ale... — i znów zakryła twarz rękami, a potem wybuchnęła płaczem. Uspokoiła się jednak, zamknęła okno i ukłękła do modlitwy.

Modliła się szczerze i gorąco, aby Bóg ją oświecił, co ma począć, bo jeszcze nigdy w życiu nie była w tak trudnem położeniu.

Gdy wreszcie położyła się, postanowiła wstać o wschodzie słońca i pójść na mszę świętą, a potem niech się już dzieje, co Bóg postanowi, we wszystkim chce się zgadzać z Jego wolą.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na wystawie higienicznej udzielały objaśnień p. p. M. Kellerówna, Korycińska, Kolberg, Klukowska, Grochowska, Nowicka, Szycówna. W grupie sędziów wybraną została D-r Tomaszewicz Dobrska.

— P. Marya Olszewska została główną opiekunką przytułku S-go Antoniego, w którym ubogie matki mogą umieszczać dzieci w czasie kiedy wychodzą z domu dla pracy. Pani ta złożyła na rzecz tej dobroczynnej instytucji 655 rs., p. Karolowa Szlenkierowa 50 rs.

— Na Solcu wzniesionym będzie dom mieszczący przytułek kobiet sędziwych pod wezwaniem S-go Franciszka Salezego, w którym znajdzie miejsce około 100 pensjonarek, stale tam zamieszkujących. Założony już został w tych dniach kamień węgielny tego wielce dobroczynnego zakładu, którym interesować się powinny wszystkie dobrego serca kobiety. Głównymi opiekunkami są p. p. Sobańska i Weissenhoffowa obok ks. biskupa Ruszkiewicza.

— P. Marya Sobańska urządziła we wsi Czerwona Niwa, w powiecie błońskim ochronę dla dzieci do lat siedmiu, których rodzice, wyłącznie robotnicy fabryczni, wychodzą na robotę z domu. Drugą taką ochronę urządził kosztem swoim p. Feliks Bolechowski, właściciel ziemski wsi Tulewice w powiecie sochaczewskim. Obie te ochrony zostają pod kierunkiem dozorezyń, specjalnie uzdolnionych w kierunku wychowawczym.

— Z inicjatywy księżny Maryi Woronieckiej powstał w Lublinie zamiar wzniesienia przytułku dla moralnie upadłych kobiet. Zarząd miejscowego Towarzystwa Dobroczynności wystąpił obecnie do władz miejscowych o zatwierdzenie takiego zakładu sposobem próby na lat dwa. Etat wydatków obliczony na dwanaście kobiet przedstawia nakład 1,764 rs., wstęp do przytułku i pobyt w nim jest dobrowolny a Towarzystwo dobroczynności wybiera opiekuna i opiekunkę zakładu, którzy składają mają na miesięcznych posiedzeniach zarządu Towarzystwa sprawozdanie o stanie zakładu. Kobiety przebywające w przytułku, będą się zajmować robotami odpowiedniami dla ich uzdolnienia i stanu zdrowia.

— Na ostatniej wystawie ogrodniczej stwierdzono fakt, że uprawa warzyw jest u nas bardzo zaniedbaną tak u włościan jak i u właścicieli ziemskich. Chcąc stan ten zmienić na lepszy Towarzystwo ogrodnicze ogłasza konkurs na napisanie popularnej książki o uprawie jarzyn. Osoby pragnące brać tu udział powinny nadsyłać prace swoje po dzień 1 stycznia 1897 r. w rozmiarach nie przenoszących trzech do czterech arkuszy druku z uwzględnieniem przecież tylko tych warzyw, które mogą być uprawiane przez włościan i z podaniem rysunków objaśniających. Za najlepszą pracę 100 rs. nagrody, a obok tego rękopism nagrodzony będzie w 3,000 egzemplarzy nakładem Towarzystwa wydany.

— Członkami Towarzystwa dobroczynności zostały p. p. Marya Dynowska, Jadwiga Dynowska, Adela Łubińska, Marya Barszczewska, Marya Neumanowa, D. Birnbaumowa, Bella Królowa, E. Rabinowiczowa, Franciszka Kernbaumowa, Jadwiga Pawińska, Marya Kietlińska, Cecylia Śniegocka, Zofia Balnicka, Helena Okrętowa, A. Reichmanowa, I. Peretzowa, Julia Wiemanowa i Karolina Czosnowska.

— Warszawskie Towarzystwo muzyczne zakończyło rok szkolny 1895 — 6 we wszystkich klasach. Świadectwo ukończenia całego kursu klasy deklamacyi otrzymała panna Janina Moes.

— W Odesie zostanie otwartym w połowie sierpnia, fakultet lekarski, kwestya przypuszczenia kobiet jako słuchaczek regularnych bardzo gorąco jest rozbiegana przez profesorów, w czem bierze udział i publiczność.

Z bieżącej chwili.

— W d. 24 czerwca słuchacze akademii górniczej w Leoben przybyli gromadnie bez różnicy narodowości do wsi Karwiny, gdzie dwa lata temu wybuch gazów pierunujących zabił przeszło 200 górników a między nimi Celestyn Racek polak, inżynier górniczy zginął śmiercią bohaterską. Na wieść o wybuchu przybiegł co prędzej na miejsce katastrofy, zapuścił się w podziemia mimo iż go powstrzymywano i pociągnął za sobą przykładem szlachetnego męstwa kilkunastu robotników. Ocalał życie wielu, ale sam je utracił i nad grobem jego wypowiedział to gorącemi słowy prof. Rochelt i akademik Kołek, wykazując wszystkie strony jego szlachetnych uczuć i pożytecznej działalności, przy czem nie pominięto wśród faktów różnych i tego, że się przyłożył znacznie do założenia w Karwinie czytelnicy polskiej.

— Muzeum imienia Chałubińskiego założone w Zakopanem w 1888 z celem gromadzenia okazów Tatr polskich, wytworów domowego przemysłu miejscowego oraz różnych przedmiotów, naukowych i artystycznych o ile Tatry dotyczą, rozwinęło się szybko i w 1892 r. już posiadało dom własny na gruncie ofiarowanym przez spadkobierców Chałubińskiego. Założono tu niebawem stację meteorologiczną, której spostrzeżenia przesyłają się Towarzystwu tatrzańskiemu, oraz komisji fizyograficznej w Akademii umiejętności, oraz komisji stacji klimatycznej. Katalog zbiorów muzealnych rozpoczęto prowadzić w roku zeszłym; prztem zbiory te zostały zdeterminowane naukowo dzięki kilku przyrodnikom, którzy lato w Zakopanem przepędzali. Dział zoologiczny mieści okazy prawie wszystkich okolicznych zwierząt ssących oraz tych, które wyginęły (wilki) ptaków przeszło 300 i mnóstwo ryb, gadów, skorupiaków i owadów. Dział roślin mieści bardzo bogaty zbiór mełoh i porostów tatrzańskich w liczbie 276 gatunków i 169 rodzajów, co wszystko zgromadził i ofiarował muzeum ś. p. Chałubiński. Obok tego znajduje się 106 okazów ofiarowanych przez prof. A. Wrześnińskiego i 10 ksiąg zielnika o 900 okazach dar Akademii umiejętności. Dział minerologiczny zawiera przeszło 300 okazów; zbiór etnograficzny wzrasta również jak i specjalna biblioteka przyrodnicza; muzeum posiada obok tego plastyczną mapę Tatr i widok ich panoramy, wykonany przez malarza Walerego Eljasza.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 12-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Ś. p. Dr. Romuald Płaskowski, przez Kazimierza Płaskowskiego (z portretem). — Miłosierdzie w Ameryce, przez A. D. — Fale, przez Selima. — Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego. — **Kędy droga?** Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — **Wędrowka przez Węgry** (dokończenie). — **Dlaczego?** Napisał Ignacy Kotwicz. — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 12-ty. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozycja stołu.